

Czasopismo Społeczności Lokalnej Gminy Mirsk i okolic

Izery

Wyd. maj 2009, nr 9

Cena: 1,90 zł

Nakład: 500 egz.

ISSN: 1899-8313

W majowym numerze:

„Wystarczyła Mu sutanna uboga”

Żegnaj drogi kolego

II Wojna Światowa w Mirsku i okolicach - 1945

PO-KO-LE-I

Kartki z pamiętnika osadnika wojkowego,

czyli wspomnienia Pana Bronisława Adamczyka (cz. II)

Wystawa na Orlu

Opowieść o Knoblauchach

Taka Gmina

Straszna straż

Wywiad z Babcią...

Niełatwe jest życie licealisty...

„Watashi wa” czyli „ja jestem”

Nowoczesna promocja i prezentacja gminy

IZERSKIE FANTAZJE - smacznie i dużo

II Festiwal Dzieci Ziemi w Gajówce

Jak to z zieleń miłości było!

ORZEŁ BIELIK (*HALIAEETUS ALBICILLA*)

Kabelek Izerski

Słodki dzień dziecka

foto. Bogusław Nowicki

Czasopismo wydawane przez Stowarzyszenie Promocji i Rozwoju
Pogórza i Gór Izerskich „Zakwisię”

www.zakwisię.pl

„Wystarczyła Mu sutanna uboga”

Kiedy zastanawiamy się, jaki był Nasz Ksiądz, uświadamiamy sobie, jak trudno jest ubrać w słowa te wszystkie ciepłe uczucia, które w nas wzbu-
dzał. Najczęściej spotykaliśmy go podczas niedzielnych nabożeństw. Zawsze spokojnym krokiem zmierzał w kierunku ołtarza.



Ks. Tadeusz Gadżala.

Msze święte odprawiał w sposób niezwykle nabożny, starannie, wręcz pedantycznie układając naczynia liturgiczne, zawsze wysoko ku górze unosząc ręce w Modlitwie Pańskiej. Kiedy brakowało mu sił fizycznych, nigdy nie zabrakło mu wiary w siłę swojego ducha, tak więc podczas nabożeństw niczego nie skracał i niczego nie umniejszał. Odchodząc po

zakończonej mszy, rozsyłał uśmiechy i ukłony w kierunku dzieci i dorosłych.

Cierpliwie zachęcał nas do uczestniczenia we mszach świętych, pomocy przy pracach porządkowych i dekorowaniu kościoła. Nie krzyczał, nie kazał, prosił... Prosił zawsze spokojnie i nigdy o nic dla siebie. Prosił dla Kościoła. Nie zawsze się to udawało, bo często byliśmy głusi na Jego prośby. I trapiło Księdza to, że bardziej niż jego skromne i pobożne słowa przemawiały do nas reklamy hipermarketów i filmy. Przepraszał za to w naszym imieniu na każdej adoracji Najświętszego Sakramentu słowami: „...przepraszamy Cię Jezu za wszystkie nasze niewierności...”.

To dla Boga starał się, aby nasz Kościół był zawsze godnie przygotowany do wszystkich uroczystości. Niejednokrotnie dekorowanie kościoła trwało wiele godzin i tylko ci, którzy w tym uczestniczyli, wiedzą co czuje się, słysząc po wielu godzinach pracy słowa: „nie, nie, jeszcze troszeczkę w prawo”. Taki dokładny był bowiem Nasz Ksiądz Tadeusz Gadżala. Dzięki Jego wyjątkowemu zmysłowi artystycznemu dekoracje kościelne były piękne, nietuzinkowe, pełne symboliki i nigdy nie były takie same.

Ważni byli dla niego ludzie, ale waż-

ne były też zwierzęta i cała otaczająca nas przyroda. Własnymi rękoma posadził wiele drzew, karmił porzucone psy i koty. Pielęgnował otaczający plebańską ogród i staw. Widywany z kosą lub grabiami, pracował ponad własne siły.

Wspierał bezdomnych i potrzebujących. Karmił głodnych. Głodnych chleba, ale też głodnych sakramentów, którzy pukali właśnie do Jego drzwi, a On je zawsze otwierał. Zawsze cichy i spokojny. Uśmiechnięty. Nie lubił przepychu, rozgłosu, zbędnego patosu. Był człowiekiem niezwykle skromnym, któremu wystarczała szczerza modlitwa i „sutanna uboga”.

Często można było Go spotkać na cmentarzu. Lubiał tam spacerować. Lubiał to miejsce, lubiał ten spokój i ciszę. Siedział na ławce. Może wspominał tych, którzy odeszli, a może myślał o tych, którzy jeszcze odejdą? Z pewnością jednak modlił się za nas wszystkich. Tych którzy są i po tej, i po tamtej stronie.

Teraz to my będziemy przychodzić z cichą modlitwą i zapalać znicze na grobie Naszego Księdza. Pozostanie w naszych sercach na zawsze. We wszystkich ochrzczonych dzieciach, pobłogosławionych małżeństwach, rozgrzeszonych duszach. Pozostanie we wszystkich dobrych i mądrych słowach które zasiał w naszych sercach.

„Wystarczyła Mu sutanna u Boga”.

Edyta Hryciw, Edyta Kardasiewicz

Żegnaj Drogi Kolego

Tekst tego pożegnania miał być odczytany w czasie mszy odprawianej 12.05.2009 r., czyli w dniu pogrzebu naszego kolegi Tadeusza Gadżala. Okazało się to niemożliwe z przyczyn organizacyjnych, dlatego też pragniemy opublikować je na łamach czasopisma *Izery*.

Czcigodny Księżu Prałacie Tadeuszu, przybyła tutaj gromadka koleżanek i kolegów ze szkolnej ławy poczytuje sobie za obowiązek zaznaczyć, że dzisiaj jesteśmy z Tobą, tak jak bywałeś wielokrotnie i znowu mieliśmy być 14 czerwca br. na jubileuszowych obchodach pięćdziesięciolecia Twojego kapłaństwa.

Dzisiejsza okoliczność mimo woli przypomina pierwsze słowa przepięknego testamentu poetyckiego Juliusza Słowackiego:

*Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny,
Dziś was rzucam i dalej idę w cień - z duchami
A jak gdyby tu szczęście było - idę smętny.*

Nikomu z nas na myśl nie przyszło mierzyć się z arcymistrzem pióra, ale pamiętni nauk wyniesionych z liceum, pragniemy publicznie wyznać, że to Ty Tadeu, począwszy od ławy szkolnej aż dotąd, zawsze towarzyszyłeś nam przykładnym zachowaniem, myślami, pamięcią, modlitwą, mszami świętymi w naszych intencjach, udzielając sakramentów i ochoczo uczestnicząc w koleżeńskich zjazdach, aby promieniować anielską dobrocią i nie uronić żadnej sposobności do wypełniania swojej kapłańskiej misji.

Dzisiaj, żegnając Ciebie- niestrudzonego Robotnika Winnicy Pańskiej- dziękujemy Ci za wszystko najserdeczniej. Tak bardzo chcielibyśmy zobaczyć Twój uśmiech, którym obiecałeś nas powitać,

gdybyśmy z okazji Twojego pięćdziesięciolecia kapłaństwa zjawili się na jubileuszowym nabożeństwie. Żywimy nadzieję, że właśnie teraz, już z Domu Ojca, patrzysz na nas i uśmiechasz się przyjaźnie w tylko Tobie właściwy sposób.

Żegnaj, Druhu, i do spotkania tam, dokąd zabrał Cię Twój Mistrz, a nasz Pan. Amen.

Rębiszów, wtorek 12 maja 2009 r.



fot. W. Biernat

Ceremonia pogrzebowa prowadzona przez biskupa legnickiego.

Koleżanki i koledzy klasowi z lat 1950-1954

II Wojna Światowa w Mirsku i okolicach – 1945

Od 1944 roku mieszkańcy Mirska mieli do czynienia z uchodźcami, którzy opuścili swe miejsca zamieszkania na rozkaz władz i z obawy przed nadciągającymi ze wschodu Armią Czerwoną i Wojskiem Polskim. Przybywali tu też ranni żołnierze na leczenie i rekonwalescencję. Zaczęto sobie uświadamiać, że do tego spokojnego miasteczka coraz bardziej zbliża się front.

W drugiej połowie stycznia 1945 roku dotarli do Mirska już nie pojedynczo, ale całymi falami uciekinierzy z Wrocławia i sąsiednich powiatów. Było to związane z rozkazami, na mocy których ludność cywilna pod groźbą śmierci miała ewakuować się z terenów zajmowanych przez wojska radzieckie, niszczące za sobą całą infrastrukturę. Uciekinierzy obierali jedną z dwóch tras: w stronę Lubania i Zgorzelca albo w stronę Świeradowa Zdroju, a następnie na Czechy. Wszystkie domy we Lwówku Śl. i okolicy były wówczas przepełnione. Miasta i wsie tutejszego regionu miały podwójną ilość mieszkańców, a Lubomierz i Świeradów w pewnym okresie potroiły liczbę ludności. W tym okresie w Księżce Chrzty w Mirsku zanotowane są 84 chrzty, niewątpliwie związane z tą migracją. Władze lokalne nie były w stanie zapewnić kwater takiej masie ludzi, wobec czego uciekinierzy koczowali często pod gołym niebem, na podwórzach obejść, a nawet na poboczach dróg.

„Ulicami Lwówka przesuwali się korowód zmierzniętych uciekinierów, w większości dzieci, kobiet i starców. Szli ciągnąc za sobą ręczne wózki lub wprost nieśli tobołki na plecach, zatrzymując się tylko na czas niezbędnego odpoczynku. Był to przez nikogo nie kierowany przemarsz”.

Pomimo nakazów niektórzy próbowali przekonywać innych do pozostania pomimo zbliżającego się frontu. Te postawy były bezwzględnie karane śmiercią. Za odmowę ewakuacji swoich wsi rozstrzelano wtedy w powiecie lwóweckim kilku sołtysów. Jeden z mieszkańców Zbylutowa, z zawodu murarz, namawiał ludność do pozostania i wywieszenia białych flag. Został on aresztowany i odesłany do Lwówka. Tu przyczepiono mu tablicę z napisem: „Verräter” (zdrajca) i tak oprowadzano go po mieście. Następnie publicznie rozstrzelano - zwłoki leżały na placu przez 24 godziny, potem pochowano je w rowie przy placu. Podobna sytuacja zaistniała i w Mirsku. Pięciu żołnierzy niemieckich, którzy usiłowali zdezerterować z armii niemieckiej (według innych relacji spóźnili się o jeden dzień do jednostki), zostało schwytanych

i rozstrzelanych 20 lutego 1945r. na rynku w Mirsku. Byli to: szeregowy Henryk Kunze- lat 18, starszy szeregowy Jan Rumpler-lat 21, szeregowy Jan Weip- lat 26, starszy szeregowy Henryk Mitter- lat 37 oraz Michał Fischer- lat 34. Wszyscy należeli do 2 batalionu 98 Regimentu Grenadierów Pancernych. Zostali pochowani w dniu 21 lutego. Innymi ofiarami byli francuscy robotnicy przymusowi, których barak znajdował się na terenie dawnego ZPL Skarbków. Pięciu z nich usiłowało zbiec, zostali jednak schwytani i rozstrzelani koło Rębiszowa.

Od 12 do 16 lutego toczyły się walki w Lwówku Śląskim i jego okolicach. Obrona składała się z niewielkich pododdziałów wojska wspartych policją i 2 kompaniami Volkssturmu. Rosjanie celowo niszczyli miasto ogniem dział i wyrzutni rakietowych. Zniszczenia sięgały 40% zabudowy. Bardzo podobne są relacje mieszkańców opisujące wkroczenie oddziałów radzieckich. Najbardziej pożądanym trofeum były zegarki, nie gardzono też innym mieniem.

Znacznie poważniejsza bitwa była związana z obroną Lubania. Można powiedzieć, że był to ostatni znaczący sukces wojsk niemieckich, który pozwolił zatrzymać pochód Rosjan na tych terenach i doczekać we względnym spokoju końca wojny. Bitwa ta rozpoczęła się 17 lutego od ostrzału artyleryjskiego miasta. Ciężkie walki obronne w samym mieście i jego okolicach toczyły się do 28 lutego. 1 marca rozpoczęto kontratak (operacja „Kozica”), którego celem miało być okrążenie i zniszczenie wojsk radzieckich w rejonie Lubania oraz odzyskanie połączenia kolejowego Zgorzelec – Lubań - Jelenia Góra. 6 marca wyparto Rosjan z rejonu Lubania, 9 marca przywrócono ruch na trasie kolejowej, III Armia Pancerna Gwardii, dowodzona przez gen. Pawła Rybalkę, została tak poważnie osłabiona, że wycofano ją z walki dla uzupełnienia ludzi i sprzętu. Propaganda hitlerowska starała się wykorzystać ten sukces, bo do Lubania przybył po bitwie nawet sam J. Goebbels. Relacje o bestialstwie żołnierzy radzieckich wobec ludności cywilnej i jeńców wojennych przytaczano potem

w materiałach propagandowych (np. w kronice filmowej „Die Deutsche Wochenschau z 5 marca 1945 r.).

Gryfów Śląski staje się po tych wydarzeniach miastem przyfrontowym, nie są jednak prowadzone tu działania wojenne. 8 maja do miasta wkroczyły oddziały radzieckie 31 Armii.

Sam Mirsk od marca przygotowywany był do obrony. Nie miała to być walka na podobieństwo tej z Lubania czy Lwówką, lecz opóźnianie marszu przeciwnika przez zamaskowane stanowiska dział i tworzenie innych lokalnych punktów oporu. Oddział Organizacji Todt zajmował się przygotowywaniem stanowisk obronnych. Na pewno w jednym z nich, na Górze Marcowej, były działa przeciwlotnicze 88 mm. Podczas wędrówek po okolicy odnalazłem wiele pozostałości po okopach z czasów wojny. Przypuszczam, że na Górze Skarbkowej znajdowało się stanowisko dział przeciwpancernych 75 mm, które miało kluczować trasę Proszówka – Mirsk i Rębiszów – Mirsk. Opieram się tu na pozostałościach okopów oraz odnalezionym niewypale pocisku przeciwpancernego na polach pod „kaolinowym” lasem.

7 maja mieszkańcy naszej okolicy, również Gryfowa, otrzymali nakaz ewakuacji, nie został on jednak wypełniony. Tego dnia wysadzono most na Kwisie – ten obok zakładów Inniarskich. W samym Mirsku pozostał jedynie niewielki oddział SS, którego zadaniem miało być niszczenie przepraw. Oddział ten wysadził też w nocy z 8 na 9 maja most prowadzący na Rębiszów i, prawdopodobnie, most kolejowy. Chciano wysadzić również młyn w Mładzu, lecz na to nie pozwolili mieszkańcy. 9 maja do miasta wkroczyły pierwsze oddziały radzieckie, poszukując niedobitków armii niemieckiej oraz zegarków, rekwirując następnie radioodbiorniki i rowery. Radziecka komendantura mieściła się w budynku sądu (obecnie MOPS). Po okolicy, głównie w lasach, zostały rozlokowane oddziały 88 Dywizji Piechoty.

Od 14 maja przez ok. 10 dni przebywało w Mirsku kilkuset niemieckich jeńców, eskortowanych przez Rosjan. Chorzy byli przetrzymywani w dawnej salce katechetycznej i w kościele. Zdrowi jeńcy koczowali na cmentarzu, nocując we wnękach murów. Przy okazji rozbrojona została duża bomba lotnicza, która nie wybuchła i wryła się w ziemię w pobliżu narożnika domu organisty, od strony cmentarza. Jeńcy spędzili w Mirsku Zielone Świąta (20 maja), a w kilka

dni później wymaszerowali w kierunku Złotoryi, a następnie, po przekroczeniu autostrady, zostali odtransportowani z nieznanego lotniska do ZSRR.

Na zakończenie okresu wojennego jeszcze odrobina tajemnicy i sensacji. Ocenie czytelników zostawiam wiarygodność tych relacji, lecz kto wie... Możliwe, że jedna i druga wiążą się ze sobą. W marcu 1945 roku mieszkańcy okolic Czerniawy otrzymali polecenie, by następnego dnia o określonej porze nie wychodzić z domów. Ciekawscy zaobserwowali jedynie przejazd kolumny ciężarówek (podobno było ich 22), które przez Czerniawę przejechały, lecz nie dojechały do Świeradowa, znikając pomiędzy Opałencem i Czerniawską Kopą. Według plotek mógł być to transport bankowego złota. Okolica jest pełna niewielkich sztolni, lecz żeby znalazła się taka, która pomieści załadunek 22 ciężarówek?...

Kontynuacją tego wątku jest niepotwierdzona informacja o zaobserwowaniu pod koniec wojny czołgów w okolicy Świeradowa Zdroju. Może nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie to, że były to czołgi amerykańskie. Profesor

Jerzy Łojek, w relacji opublikowanej w „Kalendarzu Historycznym”, wspomina o tym, że będąc na tych terenach w 1949 roku, zwrócił uwagę na zrytą asfaltową drogę. Zapytany „autochton” odpowiedział, że pod koniec wojny od strony Czech przedarło się przez góry kilkadziesiąt amerykańskich czołgów, które dały się zauważyć na tym terenie w ciągu 2 dni, po czym się wycofały. Najbliżej stacjonowały wówczas III Armia USA dowodzona przez generała Pattona. Słyszał on ze swej, łagodnie mówiąc, niechęci do Rosjan oraz brawury. Może dalekie rozpoznanie... W jednym z artykułów znalazłem jednak wzmiankę, że w ręce Amerykanów w zachodnich Czechach wpadł niemiecki oficer, który zdradził informację o transporcie złota, ukrytego w Górach Izerskich. Tyle. Zaznaczam, że są to niepotwierdzone pogłoski.

Zakończenie wojny nie przyniosło ze sobą natychmiastowego zakończenia walk. Na terenach należących wcześniej do Niemiec pozostały tajne organizacje, także o charakterze dywersyjno - terrorystycznym. Najbardziej znaną był Wehrwolf, liczny na tych terenach.

Dowództwo Wehrwofu na obszar Śląska i Sudetów znajdowało się w Libercu, dowódcą był obersturmbanführer Ernst Muller, natomiast obszarem Kotliny Jeleniogórskiej dowodził Hans Bonsch, zaś we Lwówku Śląskim – Herbert Tybert. Na terenie gminy Mirsk najgłośniejszą akcją tej organizacji było zniszczenie (spalenie) Zakładu Płyt Piłśniowych w Mroczkowicach w październiku 1946 roku. W akcji zginęło również 2 polskich strażników: Józef Krzemiński i Czesław Zdziechowski. Grupa dowodzona była przez Guntera Weissa i Willego Hilgera. Prawdopodobnie pomagał im Erich Seidel, u którego w stodole nocowała jakaś grupa w noc poprzedzającą akcję. Weiss został wkrótce zatrzymany (skazany został później na karę śmierci), Hilger uciekł na Zachód.

Działania organizacji podziemnych zostały ograniczone po przesiedleniach ludności niemieckiej. Na terenie Dolnego Śląska do aktów sabotażu dochodziło nawet w 1948 roku.

Feliks Chojnacki

PO-KO-LE-I

1 maja ok. godz. 10 na mirskim rynku można było spostrzec większą niż zwykle liczbę rowerzystów. Stawili się bowiem na miejsce zbiórki uczestnicy 2 rajdów rowerowych. Jeden szlakiem dawnych kolei, drugi trasą wokół Jeziora Złotnickiego.

fot. Bogusław Nowicki



Uczestnicy rowerowej majówki na starcie z mirskiego rynku.

Trasa „Po-ko-le-i” była przygotowywana jako niezbyt uciążliwa, obfitująca w miejsca związane z historią naszych terenów, zarówno dalszą, jak też bliższą naszych czasów. Lecz może po kolei...

W 12-osobowej grupie, zwarcu i gotowi na wszelkie przeciwności, pomknęliśmy trasą przez Kamień. Minawszy schronisko „Halny” skierowaliśmy się, przecinając szosę Mirsk – Świeradów, mijając strzelnicę myśliwską, w stronę Wolimierza. W samym Wolimierzu była

możliwość obejrzenia krzepko się jeszcze trzymającego mostu kolejowego nad potokiem Łużyca. Dalsza droga wiodła w stronę Świecia, skręcając jednakże z drogi asfaltowej na gruntową, biegnącą równoległe do dawnej trasy kolejowej Mirsk – Jindrichovice. Po krótkim „off-road” z przeprawą przez niewielki strumyczek, jesteśmy na granicy polsko-czeskiej. Krótki odpoczynek i jedziemy „połną ścieżką” po dawnym nasypie kolejowym w stronę Jindrichovic. Na przejeździe przy samym wjeździe do Jindrichovic zaciekawienie i pewną nostalgię

budzą pozostałości toru kolejowego w całkiem dobrym stanie, choć tak stare, że w jedną z szyn wrosło drzewo. Z obowiązku udajemy się na stację kolejową, z której nadal kursują pociągi do Frydlantu, a nawet Liberca. Kolejnym punktem była wizyta przy „wiatrakach”. Niestety, punkt gastronomiczny – informacyjny był tego dnia nieczynny. Można rzec, że od tego miejsca zaczęła się trudniejsza część rajdu.

Jazda w stronę przejścia granicznego na

Kątnej Górze, odpoczynek na samym przejściu, zjazd do drogi na Świecie – i już z powrotem w Polsce. Kolejny przystanek – kościół w Świeciu. Zainteresowanie odwiedzających te miejsca budzą średnio-wieczne krzyże pokutne i płaskorzeźby dawnych właścicieli na murach kościoła. Po krótkim postoju przy zamku Świecie – odcinek najtrudniejszy. Odbijamy na gruntową drogę wiodącą pod górę w stronę drogi Leśna – Giebułtów, potem kierujemy się już znakami niebieskimi i czarnymi w kierunku Giebułtowa. Na Rynku w Mirsku jesteśmy przed godziną 15, mając w zapasie jeszcze sporo sił. Podsumowując – 35 kilometrów, radosna atmosfera, ciekawe miejsca, świetna pogoda – czy trzeba dawać, że było warto?



Zniszczony most kolejowy w pobliżu Wolimierza.

Komandorzy rajdu: B. Nowicki i F. Chojnacki

Kartki z pamiętnika osadnika wojskowego czyli wspomnienia Pana Bronisława Adamczyka (cz. II)

W 9 numerze Izerów przedstawimy dalszą część opowieści. Wspomnienia naszego rozmówcy uzupełniła jego żona - Gertruda, która jako młoda pielęgniarka trafiła do Mirska w 1943 r. Po wielu latach, które upłynęły od tych wydarzeń, wspomnienia nadal niosą w sobie duży ładunek emocji. Są jak wyraźnie utrwalona fotografia i tak właśnie te dawne mirskie historie będę przedstawiał. Nadal zachęcam pierwszych mieszkańców Mirska do podzielenia się swoimi wspomnieniami z czytelnikami naszego pisma. Serdecznie zapraszamy!

Polowanie

Pewnego razu wybrałem się nad któryś z okolicznych potoków, aby się porządnie wykapać. Świeciło słońce, dzień był bardzo ciepły. Zdjąłem ubranie, położyłem obok karabin i wszedłem do rzeczki. Wtem niespodziewanie na łące pojawiła się sarna, która zaczęła skubać trawę. Nie zauważyła mnie. Szybko podjąłem decyzję. Muszę ją ustrzelić. Bardzo cicho i najwolniej jak mogłem, aby nie spłoszyć zwierzęcia, wyszedłem na brzeg i dotarłem do karabinu leżącego przy moim ubraniu. Załadowałem go i oddałem strzał, niestety okazał się niecelny. Sarna uskoczyła i zaczęła uciekać, a ja za nią. Dobiegłem aż na pobliskie pole, tam jeszcze raz przymierzyłem się i strzeliłem, tym razem celnie. Wtem usłyszałem kobiecy krzyk i... dopiero teraz zauważyłem, że stoję w polu z karabinem w „stroju Adama”, a w pobliżu jest przerażona Niemka, która wrzeszczy wniebogłosy. Wcale się jej nie dziwię, że tak się przeraziła. Szybko pobiegłem się ubrać, a mięsem z upolowanej sarny podzieliłem się z rodziną niemiecką, która mieszkała w pobliskim domostwie.

Szpital

W Mirsku prosperował w czasie wojny szpital, który mieścił się w budynku obecnego ośrodka zdrowia. Kierował nim znakomity chirurg o nazwisku Jakob (imienia nie pamiętam). Był z pochodzenia Żydem. Mieszkał w domu przy obecnej ul. St. Betleja 26. Oprócz niego w szpitalu pracowali dwaj lekarze: Goese i Biderman. Chorymi opiekowały się trzy pielęgniarki: pochodząca z Górnego Śląska - o nazwisku Bednorz, druga miała na imię Maria oraz moja obecna żona - Gertruda. Przy szpitalu stał barak dla rannych żołnierzy (oczywiście niemieckich), który został przeniesiony do Gryfowa Śl. Jak zbliżył się front, zabrano do tegoż szpitala całe wyposażenie, razem z łózkami. Chorzy leżeli na podłodze, na materacach. W naszym mieście była też mała prywatna lecznica. Mieściła się w przy ul. Kpt. St. Betleja 21. Pacjenci, którzy wymagali dłuższej diagnozy, zostawiali na obserwacji, oczywiście pod opieką dra Goese. W tym miejscu siostry mogły sobie

dorobić do pensji po godzinach obowiązkowej pracy.

Moje losy być może potoczyłyby się inaczej, gdybym nie trafił właśnie do mirskiego szpitala jako pacjent. Dostałem zapalenia wyrostka robaczkowego, miałem silne bóle brzucha i temperaturę. Doktor Jakob natychmiast się mną zajął. Podjął szybką decyzję o przygotowaniu mnie do operacji. Po otwarciu jamy brzusznej okazało się, że nie jest dobrze. Wyrostek pękł i rozlał się po jamie brzusznej. Podobno woń wydobywającą się z moich trzewi czuć był w całym szpitalu. Założono mi sączki, którymi ropa spływała do podstawionego naczynia. Tak leżałem przez kilka dni. Troskliwą opieką otoczyła mnie siostra Gertruda. Udało się, młody organizm zwalczył chorobę. Wyzdrowiałem, a troskliwa pielęgniarka tak głęboko wpadła mi w oko, że jestem z sobą już 60 lat.

Wypadek

Zdarzenie to miało miejsce na obecnej ul. Wojska Polskiego, na wysokości wylotu ulicy wychodzącej z Placu Targowego na mostek do Skarbkowa. Jadąc motorem od strony Świeradowa Zdr. zbliżało się do tego miejsca dwóch wojskowych. Prowadził Antoni Słomiński, za nim siedział pan Domalewski. Dowódcy uzgadniali podział terenów pomiędzy stacjonujący w Świeradowie Zdr. 33 pułk, a naszą Komendę Osadnictwa Wojskowego. Nagle zza zakrętu wyskoczył samochód prowadzony przez rosyjskiego żołnierza, który ścinając go wjechał na przeciwległy pas. Doszło do czołowego zderzenia motoru z samochodem. Największe obrażenia poniósł kierujący motorem. Nieprzytomnego zawieziono do mirskiego szpitala. Doktor Jakob po dokonaniu oględzin zaczął przygotowywać się do operacji głowy. Po niedługim czasie wpadł do szpitala oficer polityczny (tzw. politruk). Wrzeszcząc na całe gardło, odwołał operację tymi słowami: „*Nie będzie jakiś Niemiec operował polskiego oficera*”. Na co dr Jakob odpowiedział: „*W tej chwili jestem przede wszystkim lekarzem, a nie Niemcem. Jeżeli podejmę próbę, może go uratuję, ale gdy zostawię go w takim stanie, to na pewno umrze*”. Wy mi

nie będziecie mówić co mam robić. „*Nakazuję przerwać operację*” - zdecydował politruk. Rano przyjechał polski lekarz, ale dowódca tego już nie doczekał, zmarł w nocy. Drugi z poszkodowanych miał więcej szczęścia. Zabrano go do szpitala w Łłowej. Doznał skomplikowanego złamania nogi, która stała się o 7 cm krótsza. Został kaleką. Co stało się ze sprawcą wypadku - nie wiadomo. Ulica wychodząca z placu na miejsce wypadku nosiła krótki czas nazwę Antoniego Słomińskiego.

Niemcy

Wielu Niemców zamieszkujących w Mirsku (dawniej Friedeburgu) umiało mówić po polsku lub przynajmniej rozumiało naszą mowę. Stanowili żywy ślad po zamieszkującym tu od wieków żywiole polskim. W domu na ul. Ogrodowej mieszkał krawiec o nazwisku Słowik. Zamówiłem u niego ubranie do uszycia. Będąc kiedyś u przymiarki, zapytałem, czy będzie stąd wyjeżdżał. Przytaknął i powiedział: „*Tam gdzie bolszewicy będą rządzić, nigdy nie będzie porządku*”. W domu pana Bakalskiego mieszkał Adamek. Ojca nie widziałem, ale rozmawiałem z jego 14-letnim synem. Mieszkała tu również rodzina Nowaków. Nasze biuro sprzątała pani o nazwisku Wosny (Woźny), która dobrze rozumiała polską mowę. Jakiś incydentów na tle narodowościowym raczej nie było. Jeżeli się pojawiały, to sprawy rozwiązywaliśmy polubownie. Niemcy bali się Rosjan i zdarzało się, że zwracali się do nas o ochronę przed nimi. Szczególnie dotyczyło to młodych dziewcząt, które stawały się obiektem zainteresowania podpitych żołnierzy.

Jeżeli chodzi o działania tzw. Wehrwolfu (grupy niemieckich sabotażystów), nie odnotowano w tym czasie żadnych akcji. Fabryki zaczęły działać dzięki niemieckiej kadrze technicznej, która szkoliła Polaków. To trwało do ich wyjazdu w roku 1947.

ZPL

Po demobilizacji, która zastała mnie w Jeleniej Górze, wróciłem do Mirska. Tu mnie coś ciągnęło, a tam nie miałem żadnego zaczepienia. Rozpocząłem pracę w tutejszym zakładzie przemysłu lnianego jako człowiek do wszystkiego, chociaż początkowo chciałem podjąć pracę w pobliskiej „bawełniance” w Giebułtowie. Przeszedłem przez wiele różnych stanowisk i powoli awansowałem aż do rangi głównego mechanika w zakładzie. Z tego stanowiska odszedłem na emeryturę. Byłem również przewodniczącym Rady Miejskiej w Mirsku, ale to już zupełnie inna historia...

Wspomnień wysłuchał Bogusław Nowicki

Wystawa na Orlu

„Izerbejdżanie (czytaj mieszkańcy Gór i Pogórza Izerskiego) łączcie się”. To majowe haselko towarzyszyło spotkaniu dwóch stowarzyszeń w samym sercu Gór Izerskich. 2 maja w godzinach nieszczęśliwie rannych w siedzibie Stowarzyszenia Izerskiego- w schronisku „Orle”- Stowarzyszenie Promocji Gór i Pogórza Izerskiego „Zakwisie” zorganizowało wystawę fotograficzną „Skarby Izerów”.



fort. Bogusław Nowicki

Dwaj prezesi izerskich stowarzyszeń: Stanisław Kornafel i Andrzej Woźniak podczas uroczystości otwarcia wystawy.

Zdjęcia laureatów czterech edycji konkursu fotograficznego uświetniły atmosferę tego górskiego schroniska. Otwarcia dokonali prezesi stowarzyszeń w osobach p. Stanisława Kornafela i p. Andrzeja Woźniaka. Przy dźwiękach kapeli z sąsiedniej Izerki (wieś położona w czeskiej części Gór Izerskich) turyści i zaproszeni goście upajali się pięknem krajobrazów, osobliwościami architektury i fragmentami życia mieszkańców tej części Sudetów.

Przy biesiadnym stole na podwórzu schroniska zasiedli Polacy, Czesi, Niemiec urodzony w Poznaniu, nieopodal rozsiedli się wędrowcy i rowerzyści z różnych części naszego kraju i z kraju –południowego sąsiada, przysiadł się też Amerykanin polskiego pochodzenia. Poczuliśmy się wszyscy jak w globalnej wiosce. Przybyszów zabawiała prawdzi-

wie izerska kapela z Miłosem Kirchnerem na czele – artystą fotografikiem, w którego obiektywie znalazły się nasze góry. Jest artystą znanym nie tylko w Czechach. Otrzymaliśmy zaproszenie (i Państwu je przekazujemy!) na otwarcie wystawy jego fotografii w Muzeum Gerarda Hauptmanna w Jagniątkowie. Przedmiotem tej majowej debaty była tematyka górską, zrodziło się kilka pomysłów i postanowień, w tym odbudowa zerwanego mostku na Jagnięcym Potoku – dopływie Izery, a co najważniejsze, doszło do zawarcia porozumienia o współpracy wszystkich stowarzyszeń działających w obrębie wspomnianego obszaru.

I jeszcze zabawna historia: koledzy z Czech włączyli nas w koncertowanie, dając nam... słowa znanej piosenki biesiadnej „W zielonym gaju...”. Zgodziliśmy się z ich opinią, że tak naprawdę, to my- Polacy- znamy tylko refreny. Jest w tym wiele prawdy. W tej kwestii musimy przyznać palmę pierwszeństwa naszym sąsiadom- przybywający co jakiś czas do Orla sąsiedzi zza miedzy przyłączali się do śpiewów – a znają teksty piosenek od początku do końca. Finałem czeskiej części koncertu był znany nam wszystkim przebój „Jožin z Bažin”. Polską stronę muzyczną uświetnił Waldek Koczewski (pomysłodawca koncertu na kilka tysięcy gitar na wrocławskim Rynku), oczywiście wyjął elektryczną gitarę i podłączywszy ją do przenośnego wzmacniacza, zain-

nował przeboje w stylu „Kiedy byłem, kiedy byłem małym chłopcem, hej...”. W pewnej chwili polskiej gitarze zaczęły akompaniować czeskie trąba, trąbka, bębenek i skrzypce, ale się działo...

Nasze piękne „Izery” nie mają granic! Uroczę zakątki Wysokiego Grzbietu, Kamienickiego Grzbietu, Jeleniego Grzbietu i Średniego Grzbietu przyciągają rzesze wędrowców, rowerzystów, a zimową porą – narciarzy. Na głównych szlakach słyszemy mowę ojczystą, czeską, niemiecką, holenderską, angielską i nie tylko. Czarowi pięknych Gór Izerskich ulega już coraz więcej osób. Alpy, Pireneje, a tym bardziej Himalaje są daleko. Rozkoszujemy się tym kameralnym górotworem, oddychamy czystym powietrzem, podziwiamy piękno jeszcze dzikiej przyrody. „Izerbejdżan” stoi przed nami otworem. Przemierzając Góry Izerskie z plecakiem i aparatem fotograficznym, proszę mieć na względzie kolejny konkurs fotograficzny



fort. Bogusław Nowicki
Część czeskiego zespołu z muzykującym fotografikiem Miłosem Kirchnerem na czele.

„Skarby Izerów”. Niebawem na stronie „Zakwisia” ukaże się regulamin kolejnej edycji tego konkursu. Życzę wspaniałych wędrowek i tego, by Państwa zdjęcia znalazły się na następnych wystawach.

Beata Nowicka

Opowieść o Knoblauchach



Praca w lesie: drugi od prawej Miliony- Knoblauch.

W połowie lat trzydziestych w miejscowości Blumendorf żyło wiele rodzin o nazwisku Knoblauch. Najmiesznijszy był fakt, że trzech mężczyzn o tym sa-

mym nazwisku miało również takie samo imię; Bruno. Jeden mieszkał na Ober Blumendorf (Górne Kwieciszowice), bo tak nazywali Niemcy tę część Kwieciszowice, gdzie teraz mieszka Pani Kriplowa. Drugi - w Wiesenhäuser (domy na łąkach) w bliskiej odległości od domu pana Serdakowskiego. Trzeci Bruno mieszkał w Gotthardsberg (Boża Góra).

Żeby wiadomo było, o którego Bruno chodzi, nadano im przydomki. I tak Bruno z Ober Blumendorf miał złoty ząb, więc nazwano go Golden Zahn Knoblauch. Brunona z Bożej Góra nazywali

Miliony – Knoblauch, bo mówiono we wsi, że miał on dużo pieniędzy. Trzeci z nich otrzymał przydomek Wiesen – Knoblauch, bo mieszkał w Wiesenhäuser. Żeby jeszcze bardziej sytuację utrudnić – sąsiad Wiesen – Knoblauch też nazywał się Knoblauch, a zamieszkiwał on dom, którego właścicielem do niedawna był Pan Serdakowski. Knoblauch zajmował się handlem masłem, stąd jego przydomek Butter – Knoblauch.



Erik Wejcs

Taka gmina

Wiesław Myśliwski napisał: „Kiedy ludzi może coś podzielić, zawsze się dzielią.”

Kilkanaście lat temu, nie zdając sobie z tego sprawy, zamieszkałam po tej gorszej stronie. To, że mieszkam po niewłaściwym brzegu Kwisy, odczułam kilka lat temu, kiedy woda na moim terenie z miesiąca na miesiąc stawała się niezdatna do użycia! Co jest przyczyną tego stanu – nie wiem, ale nie o tym chcę pisać.



Nasze ujęcie wody.

Zauważyłam, że po drugiej stronie naszej rzeki, od kilku lat, wioski są systematycznie wodociągowane i kanalizowane! Z tego co wiem, plany inwestycyjne na następne lata również obejmują tę „lepszą” stronę!

W 2003r. Gmina Mirsk podjęła się zadania zwodociągowania i kanalizacji 17 wsi, zadanie to miało odbywać się etapami. W 2005r. oddano do użytku sieć wodno-kanalizacyjną w Mroczkowicach, Kamieniu, Krobicy i w Orłowicach. Od tego czasu minęły 4 lata, powstaje więc pytanie - kiedy rozpocznie się kolejny etap? Zaopatrzenie wsi w wodę i kanalizację jest jednym z priorytetów inwestycyjnych, wspieranych przez fundusze unijne. Gmina Mirsk jest w Krajowym Programie

Oczyszczania Ścieków Komunalnych i ma większe możliwości pozyskiwania pieniędzy na te cele. Z tej strony nie powinno być raczej problemu w uzyskaniu środków na te inwestycje. Gdzie więc istnieje problem? Dlaczego tak długo czekamy na wodę w naszych kranach? Przez wiele lat zwodzono mieszkańców Rębiszowa i pozostałych wiosek, obiecując wodociągi i kanalizację. Przed każdymi wyborami głośno było wokół tego tematu, dużo obiecywano i robiono jesz-

cze większe nadzieje. Za dwa lata minie następna kadencja „naszej władzy” i jak widać ponownie kończy się na obietnicach. Czekamy cierpliwie karmieni obietnicami, a przecież wody nie będziemy mieli jeszcze przez wiele lat i nikt z władz nie ma odwagi o tym głośno powiedzieć! Od dawna nie było spotkania administracji z mieszkańcami wioski na temat wodociągów!

Zdaję sobie sprawę, że nie jest to łatwe przedsięwzięcie, ale władze w czasie kampanii przedwyborczej chyba wiedziały, na co się „porywają”. Już ponad dwa lata czekamy na rozwiązanie problemu

zakupu działki wodonośnej przez Gminę. Negocjacje z właścicielem nie przyniosły rozwiązania i sprawa została skierowana do sądu. Teraz przed nami następne lata oczekiwania, bo jak potrafią się „ciągnąć” sprawy w sądach, prawie każdy wie! Ponoć Gmina wykazała dobrą wolę, ale w negocjacjach to pewnie za mało. Adwokat, opłaty sądowe, wycena rzeczoznawcy - są to koszty, które dodatkowo obciążają budżet Gminy, czyli podatników! Brak woli porozumienia i decyzje kilku osób wpływają na jakość życia wielu rodzin z kilku wiosek i opóźni zapewne o kolejne lata tak wyczekiwaną inwestycję!

Na pewno nasze władze mają wiele argumentów przemawiających za takimi decyzjami, szkoda tylko, że ich decyzje nie ułatwią życia wielu mieszkańcom, zwłaszcza tym starszym i schorowanym!

W 2015r według dyrektywy unijnej wszystkie miejscowości mają być zwodociągowane i skanalizowane. Miejmy nadzieję, że wymogi owych wytycznych wymuszą na naszych władzach samorządowych działania w tym kierunku.

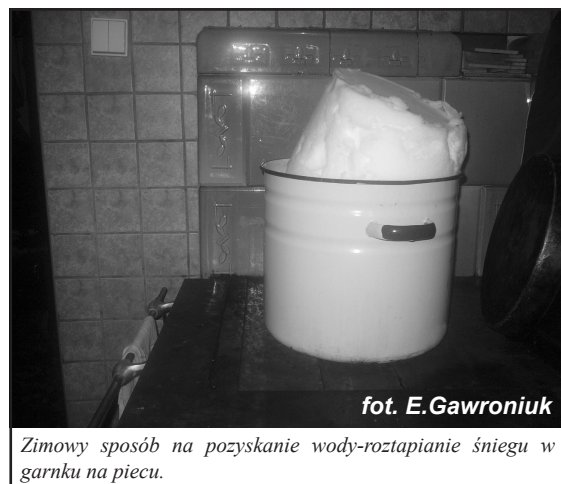


foto. E. Gawroniuk

Zimowy sposób na pozyskanie wody-roztapianie śniegu w garnku na piecu.

Straszna Straż

Jako mieszkańcy ulicy Głowackiego, od pewnego czasu, tj. od roku, czujemy się bardzo szykanowani przez tutejszą Straż Miejską.

Faktem jest, że ulica Głowackiego jest ulicą bez możliwości zatrzymywania się. Mieszkanie na takiej ulicy, gdzie brak jest możliwości dojazdu od strony podwórka, jest dość męczące, tym bardziej, gdy na człowieka uweźmie się miejscowa Straż Miejska. Mamy dwa samochody, jeden parkujemy w garażu, drugi stawiamy po przyjeździe z pracy na chodniku przed domem, na samym dole ulicy Głowackiego (w tak zwanej zatoczce), zostawiając wystarczająco dużo miejsca na przejście dla pieszych. Straż twierdzi, że naru-

szamy w ten sposób prawo. Parkują w tym miejscu cały czas inne samochody, należące do osób mieszkających na tej ulicy, jednakże tylko my jesteśmy karani mandatami za stawianie w tym miejscu samochodu.

Na całej długości ulicy Wojska Polskiego, naprzeciw parku, na chodniku, stoją samochody, które nie zostawiają 1,5 metra przejścia dla pieszych (nam właśnie to jest zarzucane) i jest to lekceważone przez strażników, którzy przecież powinni (jak twierdzą oni sami) reagować na wszelkie oznaki bezprawia. W ciągu jednego roku wezwań do Straży Miejskiej mieliśmy chyba dziewięć, po nieprzyjęciu mandatu skierowano sprawę do sądu.

Zadajemy sobie pytanie: czy praca Straży Miejskiej ma polegać na tym,

by szykanować z góry upatrzone osoby, które tak naprawdę nie popełniają przestępstwa? Czy tak traktuje się wszystkich mieszkańców Mirska?

Zarzucamy Straży Miejskiej stronniczość w podejmowaniu decyzji i odczuwamy tu niskie pobudki: brak dobrej woli, zawiść i złośliwość, bowiem tylko tak można tłumaczyć reagowanie na samochód tylko jednej osoby, nie zauważając innych parkujących w tym miejscu. Odczuwamy to jako bardzo niesprawiedliwe. Dochodzi jeszcze do tego straszną pewnością siebie, buta, arogancja i agresja tych osób, pycha tych, którzy sądzą, że przejęli chyba obowiązki Policji.

Joanna i Adam

Wywiad z Babcią ...

Wszyscy przechodzimy różne etapy w życiu, stale do czegoś dążymy, rozwijamy wachlarz zainteresowań, zmieniamy punkt widzenia, zmieniają się nasze gusta. Każdy jednak musiał od czegoś zacząć swoją podróż egzystencjalną i nie ma się co spierać, że pierwszym etapem wejścia w dorosłość jest szkoła. A jak szkoła, to na początku podstawowa. Wspominamy wówczas naszą Panią Wychowawczynię i ewentualnie nauczycieli przedmiotów dodatkowych jak religia, gimnastyka korekcyjna...etc. Jest jednak jeszcze ktoś, bez kogo szkoła byłaby tylko zimnym budynkiem, zawierającym klasy i ławki – ta osoba to woźna!

Postanowiłem przeprowadzić wywiad i zapoznać Cię Drogi Czytelniku z osobą, która prawdopodobnie i Tobie dawała ciepłe mleko, przynosiła kanapki i trzymała ład w całej szkole.

Tomasz Gajewski: Witaj Babciu. Opowiedz mi proszę, jak się zaczęła Twoja przygoda ze szkołą.

Zofia Gajewska: Cała przygoda zaczęła się dość zaskakująco. Urodziłam się i wychowałam w Łukowie (obecnie województwo lubelskie). Mając szesnaście lat przyjechałam w odwiedziny do swojej siostry, która podobnie jak wiele osób z moich stron, wyjechała wówczas na Zachód w celu znalezienia lepszej pracy. Do Mirska przyjechałam w 1950 roku i podjęłam naukę w szkole tkackiej, znajdującej się wówczas w Giebułtowie. Potem pracowałam kilka lat jako laborantka w zakładach przędzalniczych w Mirsku, oraz jako ekspedientka w jednym ze sklepów. Pracując w sklepie można poznać wiele ciekawych osób. Miałam więc wielu znajomych, jedną z nich była Pani Zofia Urlich, Dyrektor Szkoły Podstawowej w Mirsku przy ul. Fabrycznej (obecnie Spacerowa). To Ona zaproponowała mi posadę woźnej, którą chętnie przyjąłam. Dostałam również mieszkanie służbowe... i tak to się zaczęło...

T.G: Praca w szkole to nie należy chyba do wyjątkowo spokojnych i cichych. Tłumy dzieci potrafią nieraz wyprowadzić z równowagi....

Z.G: Kiedy zostałam przyjęta na posadę woźnej, szkoła była czteroklasowa, po dwie klasy w danym roczniku tj. „A”, „B”. W sumie było ponad 200 uczniów! Nie czułam jednak ani przez chwilę, że ta praca jest nie dla mnie. Lubię ludzi, lubię z nimi rozmawiać, wymieniać się doświadczeniami. Bardzo często dzieci zostawiają w szkole różne części garderoby, po które przychodzą później z rodzicami i pytają, czy nie widziałam jakiejś czapki, kurtki

czy butów. Dzięki pracy czuję się ciągle w pełni sił witalnych. Praca daje mi satysfakcję i motywację do dalszych działań. Nigdy nie narzekałam na zbyt dużo obowiązków, bo wszystko jest do pokonania, nie wolno się tylko poddawać!

T.G: Obecnie pełnisz w szkole funkcję dozorczy. A jak było wcześniej?

Z.G: Tak, obecnie pracuję na 1/4 etatu jako dozorca. Wcześniej jednak pracowałam jako woźna, palacz, wydawałam dzieciom mleko, robiłam kanapki, sprzątałam. Żadnej pracy się nie boję! Wszystkiego w życiu trzeba spróbować.

T.G: Pracując w szkole tak długo, przeżyłaś na pewno różne reformy szkolnictwa, zmiany systemów nauczania ... jak to jest być świadkiem tych wszystkich zmian?

Z.G: Rzeczywiście w szkole pracuję już od 1966 roku. Wiele zmian zaszło w tym czasie w „mojej szkole”. Kilka lat po zatrudnieniu się w budynku przy ul. Fabrycznej, na boisku szkolnym zostały posadzone topole. Drzewa te rosły aż do 2006 roku, kiedy to uznano, że stwarzają zagrożenie dla dzieci i zostały wycięte. Na boisku szkolnym stały również dwa ogromne metalowe słupy wraz z liniami wysokiego napięcia, które w latach 80 zostały zlikwidowane, również z powodów bezpieczeństwa.

Obecnie szkoła liczy 3 sale lekcyjne i salę do gimnastyki korekcyjnej. Co do dyrektorów to miałam przyjemność współpracować z wieloma. Począwszy od wspomnianej już wcześniej Pani Zofii Urlich poprzez Panią Kostecką, Pana Romanowicza, Panią Baszak, Panią Tomczyk, Panią Nowicką, Panią Okulowską, Panią Kuświk. Z każdym z dyrektorów współpraca układała mi się wyśmienicie. Przez cały okres pracy nie dochodziło do żadnych nieporozumień. Wręcz przeciwnie, wszyscy dyrektorzy raczej chwalili

mnie i żartobliwie dawali za wzór innym pracownikom szkoły.

T.G: Babciu, czy patrząc na swoją pracę z perspektywy lat, myślałaś kiedyś, co by było, gdybyś nie przyjęła posady woźnej?

Z.G: Jak już mówiłam, bardzo lubię swoją pracę i nie wyobrażam sobie innego lepszego dla mnie miejsca pracy niż to, które obecnie mam. Praca utrzymuje mnie w dobrej kondycji. Od podwórka do swojego mieszkania mam 27 schodów. Średnio pokonuję je 30 razy dziennie bez większego problemu, a mam już 74 lata! Poza tym przez ponad 40 lat pracy w szkole tylko dwa razy była na zwolnieniu lekarskim!!! Nie można się poddawać i z byle jakiego powodu zaraz kłaść się do łóżka.

Poza tym bardzo ważnym jest też kontakt z ludźmi, z nauczycielami, pracownikami szkoły. Myślę, że wszyscy tworzymy bardzo zgrane grono, dzięki czemu praca staje się przyjemną.

T.G: Babciu, a co robisz po pracy; jak spędzasz czas wolny od szkoły?

Z.G: Jestem osobą, która lubi ruch. Nie lubię siedzieć w miejscu, czekając aż coś się samo zrobi. Nawet kiedy wieczorem oglądam telewizję, staram się robić coś dodatkowo, a to robię na drutach, to czytam gazety, piekę ciasta...itd. Bardzo lubię też eksperymenty kulinarne. Kuchnia to mój żywioł. Tutaj sprawdzam i testuję nowe przepisy na potrawy, ciasta, desery. Często zapach przyciąga nauczycieli, pytających co tak ładnie pachnie...

Latem idę sobie na działeczkę, gdzie zajmuję się pielęgnowaniem ogródka. Sadzenie, plewienie, wówczas to mi sprawie największą przyjemność.

T.G: Dziękuję bardzo Babciu za wywiad.

Z.G: Ja również dziękuję.

Czy można sobie wyobrazić wspaniałą Babcię? Mam najwspanialszą Babcię na świecie!



Babcia Zofia przed wejściem do szkoły przy ul. Fabrycznej.



Ukochana Pani Woźna otoczona wianuszkiem dzieci.

Wywiad z Babcią przeprowadził wnuczek
Tomasz

Niełatwe jest życie licealisty...

szczególnie tego najinteligentniejszego, najblyskotliwszego, najprzystojniejszego i najskromniejszego w całej szkole. Szczególnie, kiedy gawieź stawiająca sobie ołtarzyki z obitym w złotą ramkę zdjęciem twojej osoby nie daje ci spokoju, notorycznie i nagminnie cię śledzi i wymaga coraz to nowszych dowodów twojej niezwykłości oraz zjawiskowej dobroduszości.



Monika Kowzan, Sabina Mikołajewska wyciągające z błota plastikowe śmieci

Grupa ponadprzeciętnych ludzi, którą stanowimy, doszła do wniosku, że już najwyższy czas, aby dać zwykłym szarakom pokaz naszych możliwości. Postanowiliśmy w wielkoduszny sposób okazać swoją wspaniałomyślność i zupełnie bezinteresownie posprzątać położony wyżej odcinek naszej ukochanej rzeki Kwisy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w tym czasie otrzymaliśmy również odgórny rozkaz wykonania projektu na podstawy przedsiębiorczości. Tak więc zupełnie niespodziewanie okazało się, iż nasze plany, snute w ciemnych komnatach budynku przy ulicy Wodnej, idą w parze z założeniami nowego zadania i nie sposób byłoby nie skorzystać z nadarżającej się sposobności. Złośliwi zarzucali nam działanie od początku do końca poddyktowane przez obowiązki, nie zaś dobrą wolę, ale kto by tam przejmował się aroganckimi pieniaczami, siedzącymi w

czarnym PR-ze zazdrosnych polsatowskich gwiazdeczek? Sprawa nie cierpiała zwłoki, a amatorzy nie poradziłiby sobie z problemem posprzątania rzeki bez pomocy osób kompetentnych, takich jak sześćosobowa grupa profesjonalistów z LO w Mirsku. Postanowiliśmy wziąć sprawy we własne ręce i nie pozwolić spartolić roboty podlotkom. Bo jeśli nie grupa młodych, zdolnych i niezwykle kreatywnych ludzi, to kto?

Nie zwlekając, dnia 24.04.09 o godzinie 14.15 zebraliśmy się w grupie liczącej 6 osób (w skład której wchodził(a) - Szymon Jaworski, Adrian Ananiuk, Monika Kowzan, Sabina Mikołajewska, Artur Dusza i Piotr Telingo) na mirskiej starówce, chlubie naszej gminy, jeśli nie całego powiatu lwóweckiego. Omijając grupki szukających taniej sensacji paparazzi, niepostrzeżeni przemknęliśmy się w stronę miejsca postoju naszego kierownika działu logistyki, odpowiedzialnego za bezpieczny przewóz na miejsce działania (swoją drogą – wielkie dzięki, zarówno Sz. P. Monice Kowzan za zorganizowanie transportu, jak i samego przewoźnika). Po krótkim postoju zarządzonym przez guru i pomysłodawczynię całej akcji Sz. P. Sabinę Mikołajewską tuż pod jej letnią (zimową, jesienną, i wiosenną - jak mnie mam - również) rezydencją ponownie udaliśmy się w kierunku szkoły leśnej, w której to zresztą zostaliśmy ciepło przywitani (jak na osoby naszej rangi przystało). Po zapoznaniu nas z terenem i niezwykle dramatyczną sytuacją, kierownik szkoły Sz. P. Mikołajewski postanowił dać nam wolną rękę. Zapewnił nam również odpowiednie warunki, umożliwiając przygotowanie się do karkołomnej i heroicznej walki o czystość, równość i takie tam.

Trzeba odnotować, że nasza elitarna drużyna została poddana ciężkiej próbie po

akcie dywersji przeprowadzonym przez nieznosne, niewidzialne krasnoludki. Męska część grupy została podstępnie zwabiona w pułapkę, a po krótkiej wymianie ciosów jeden z uciekających krasnali rzucił na nas okrutny czar, bezlitośnie zabijając w nas wszystkie dobre chęci i budząc uśpione lenistwo. Jednym z efektów czaru, jak się okazało, było również zapominalstwo i nieodpowiedzialność, które spowodowały zamęt związany z obuwie zmiennym (wszak nasze piękne nóżki nie mogą zostać narażone na dyskomfort z powodu tak błahego, jak posprzątanie rzeki). Ostatecznie stanęło na tym, że dziewczyny będą odwalać mokłą robotę, pleć brzydka natomiast zajmie się brzegiem. Po licznych, niestety niezakończonych sukcesem próbach utopienia się w błocie, poślizgnięcia się na mokrych kamieniach (a nuż się uda!), wpłątania w korzenie drzew i ubrudzenia naszych ślicznych rączek ziemią (w czym mistrzem był, niewątpliwie Sz. P. Artur, ubrany w nieskazitelną białą koszulkę) poddaliśmy się i zrezygnowaliśmy przytaszczyliśmy zebrane śmieci pod rząd plastikowych skrzynek, które przydały się nam podczas przesiewu śmieci. Po zakończeniu częściowej segregacji odpadów, dwójka naszych operatorów aparatów fotograficznych (a zarazem – głównych modeli) postanowiła udać się w kierunku swoich domostw; poczucie przyzwoitości wzięło górę – powiedzmy sobie szczerze, nikt nie czuje się swobodnie biorąc udział w publicznych wystąpieniach, podczas których wręczane są mu ogromne bukiety kwiatów w podziękę za wysiłek. Na całe szczęście nic takiego się nie wydarzyło, więc część grupy złożona z kobiet uznała za priorytet wysuszenie się i doprowadzenie się do względnego porządku. Sporo energii musiało pochłonąć również utrzymanie na wodzy złości względem brzydszego, leniwego (choć liczniejszego) grona mężczyzn, które raczyło je seksistowskimi uwagami i zawodowo podnosiło ciśnienie. Po szybkim otrzepaniu się z kurzu, wysuszeniu nóg i zderzenia centymetrowej warstwy błota z ubrań zostaliśmy rozwiezieni do domów przez Sz. P. Mikołajewskiego, który był na tyle łaskawy, że nie kazał nam odkupywać tapicerki i sprzątać po sobie całego samochodu. W podziękę za wyrozumiałość zostawiliśmy mu wagonik piachu i kamyczków, których z powodzeniem można by było użyć do zbudowania średniej wielkości piramidy.

Ale ten projekt odłożymy na następny rok.



Ekipa licealistów nad brzegiem Kwisy

„Watashi wa” czyli „ja jestem”

O czym większość z nas na ogół myśli, kiedy słyszy słowo „Japonia”? Zapewne zaraz po ryżowym sake pojawiają się wizje stojących w równym rzędzie gejsz z laptopami Fujitsu w dłoniach, a płatki sakury będą malowniczo powiewały nad Toyotą, której kierowcą będzie samuraj. Mówi się, że ogólnie Japonia to wciąż kraj miodem i mlekiem płynący, mimo tego, że kryzys tak samo jak w innych państwach kopnął ich w... posiedzenie. Czym różnią się stereotypy od rzeczywistości? Jacy są naprawdę Japończycy? I w zasadzie dlaczego ktoś miałby przyjeżdżać z bogatej ojczyzny sushi do nas? W dodatku „za chlebem”? Odpowiedzi na te pytania udzieliła mi Nagahama Tomoko-sensei¹, nauczycielka języka japońskiego w jeleniogórskiej Szkole Językowej E&E.

Kasia Telingo: Konichiwa², Tomoko-san³. Dziękuję, że znalazłaś dla mnie czas.

Tomoko Nagahama: Konichiwa Kasia-san! Nie ma sprawy. Tylko mam nadzieję, że pytania nie będą trudne, bo inaczej będę musiała się dłużej zastanawiać (śmiech).

K.T: O nie, trudne pytania zostawmy telewizji. A więc... Może zaczniemy od samego początku? Jak to się stało, że trafiłaś akurat do Polski?

T.N: Hmm... Jakieś dziesięć lat temu po raz pierwszy przyjechałam do Polski. To była zwykła ciekawość. Można u nas znaleźć mnóstwo informacji o USA, Anglii czy Francji, ale nie ma prawie nic o krajach Europy Środkowej. Wtedy zaczęłam myśleć: co to za kraje? Jacy ludzie tam mieszkają? Jaką mają kulturę albo kuchnię? Na specjalnym kursie przygotowywałam się do uczenia obcokrajowców. Potem dyrekcja załatwiała nam staże za granicą. Poprosiłam więc, żeby zorganizowali mi posadę tutaj albo na Węgrzech. No i tak trafiłam do Jeleniej Góry.

K.T: Coś czuję, że to dopiero początek historii, prawda?

T.N: Dokładnie. Zaczęłam nauczać na Akademii Ekonomicznej i tam zaprzyjaźniłam się z Polką, która wykładała niemiecki. Potem musiałam wrócić znów do Japonii, ponieważ skończył mi się staż. W międzyczasie moja przyjaciółka przeprowadziła się z rodziną do Goerlitz. W 2006 roku skontaktowała się ze mną i powiedziała mi, że jeśli mam ochotę, to mogę spróbować uczyć w prywatnej szkole w Niemczech, bo na pewno znajdzie się ktoś chętny na zajęcia. Nie zastanawiałam się długo i przyjechałam. Przyjaciółka i jej mąż bardzo mi wtedy pomogli, bo zgodzili się, żebym mieszkała u nich, póki nie stanę na nogi. Imałam się różnych zajęć, na przykład sprzątanía czy gotowania, zanim w końcu znalazłam pracę w prywatnej szkole. Potem okazało się, że E&E w Jeleniej też mogłoby mnie zatrudnić. Więc od 2007 roku zaczęłam pracować w dwóch miejscach jednocześnie i w końcu w 2008 przeprowadziłam się do Polski.

K.T: Dlaczego wybrałaś Polskę? Co

miało na to największy wpływ?

T.N: W Niemczech uczyłam zaledwie pięć osób. Później zrobiły się z tego cztery. Kiedy zaczęłam przyjeżdżać raz na tydzień do Jeleniej Góry, okazało się, że tutaj jest więcej osób chętnych do uczęszczania na zajęcia. Poza tym jest też jedna zasadnicza różnica między Wami a młodymi Niemcami.

K.T: Można wiedzieć jaka?

T.N: Podczas mojego pobytu tam raczej rzadko słyszałam, że ktoś chce iść na studia. Wybierali raczej szkoły, po których będą mieć zawód. Natomiast tutaj młodzież jest... hmm... jakby to powiedzieć...

K.T: Bardziej ciekawa świata?

T.N: O właśnie. Macie większe ambicje i z pewnością dużo większy „głód wiedzy” i uważam, że to bardzo dobrze. Dla Was i dla mnie (śmiech). Po prostu chcecie się uczyć i to zapewni Wam przyszłość.

K.T: No to już wiemy, jakie są różnice pomiędzy niemieckimi a polskimi uczniami. Powiedz mi jeszcze Tomoko-san, dlaczego właściwie chciałaś uczyć za granicą i jak bardzo szkoła japońska różni się od polskiej?

T.N: W zasadzie to pragnęłam uczyć za granicą, bo kiedy zaczęłam rozmyślać o krajach Europy Środkowej, po głowie płało mi się jedno pytanie: czy mogę tym ludziom jakoś pomóc? Koniec końców okazało się, że to ja potrzebowałam pomocy, której udzielali mi wszyscy moi znajomi, uczniowie czy nawet obcy ludzie (śmiech). A co do różnic między szkołą polską i japońską... Przez dwadzieścia lat pracowałam w instytucji zbliżonej do Waszego gimnazjum. Spędzałam w szkole dwanaście godzin na dobę i tyle samo czasu byli w niej uczniowie. Teoretycznie lekcje kończą się około 15.00, ale potem zawsze jest jeszcze mnóstwo zajęć pozalekcyjnych, które czasami trwają i do 20.00. Oprócz tego uczniowie są w szkole pod ścisłą kontrolą i nie chodzi tu tylko o to, czy robią coś czego nie powinni, czy zwyczajnie mają nieodpowiednie buty. Mundurki w szkole mają swoje plusy – są na pewno bardzo ładne i pozwalają rozpoznać ucznia danej szkoły, ale przyznam

się, że kazano mi kiedyś zwracać szczególną uwagę na to, w co moi podopieczni się ubierają. Miałam wrażenie, że to właśnie kontrolowanie, a nie nauczanie jest naszym głównym nauczycielskim obowiązkiem.

K.T: Jednym słowem lubisz polską wolność!

T.N: Dokładnie (śmiech).

K.T: W Japonii też na pewno funkcjonują jakieś stereotypy o Polsce, tak jak u nas te o sake i gejszach, prawda?

T.N: Owszem. Zanim tutaj przyjechałam kojarzyłam tylko nazwiska Szopen i Curie-Skłodowska oraz wiedziałam, że papież Jan Paweł II był Polakiem. Myślałam, że to taki mały, biedny kraj i ludzie są tu strasznie smutni, bo mają taką ponurą historię i są strasznie doświadczeni przez los.

K.T: A jak jest w rzeczywistości? Jakie były twoje pierwsze wrażenia? Czy Japończycy i Polacy bardzo się różnią?

T.N: Po pierwsze: przecież wszyscy jesteśmy ludźmi. Po drugie: rzeczywistość często mija się z faktami. Ale faktycznie – mentalnie Polacy i Japończycy są bardzo odmienni. Moje pierwsze wrażenie po przyjeździe do Polski to widok smutnych, a czasami wręcz... złych i poirytowanych twarzy w okienkach kas na dworcach czy w sklepach. Tak jakby wszyscy byli zmęczeni swoją pracą. Panie kasjerki nie mówią „dzień dobry”, a kiedy wydają resztę, to tylko rzucają nią do ciebie i mierzą cię wzrokiem. To był dla mnie naprawdę wielki szok, bo w Japonii wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do powiedzenia „klient nasz pan”, więc ciągle padają takie zwroty jak: „Dzień dobry, czym mogę służyć?”, „Może potrzebuje pan/pani pomocy?”, „Serdecznie dziękujemy za zakupy u nas!”, czy „Mamy nadzieję, że odwiedzą nas państwo w przyszłości!”. Ale kiedy Japończyk wraca do domu, to nie ma ochoty już na nic – jest zmęczony, wyczerpany i jedyne o czym marzy to pospać, więc nie jest rodzinnym typem. Z kolei Polacy zupełnie inaczej zachowują się po pracy niż w jej trakcie. Kiedy są w pracy, to tak jakby całe życie z nich uszło i zaraz zaczną gryźć. Ale potem, gdy już wyjdą zza biurka czy lady zmieniają się.

Są bardzo przyjaźni i otwarci, są dobrymi mężami i żonami, a przynajmniej tak wynika z moich obserwacji (śmiech). Poza tym różni się podejściem do gości. Polak przygarnie pod dach każdego. Moja przyjaciółka miała raczej niewielkie mieszkanie, a i tak postarała się, żebym i ja mogła się tam zmieścić, chociaż w ogóle jej nie uprzedzałam, że będę nocować. Potraktowano mnie jak osobę z rodziny, bardzo ciepło i uprzejmie. Z kolei Japończyk nie jest przygotowany na niespodziewanych gości, a jeśli wizyta jest zapowiedziana, to musi mieć wszystko przemyślane i zapięte na ostatni guzik. A gdy nie będzie zadowolony z efektu, wyśle gościa do hotelu, bo przecież tam jest „wygodniej”. Jego działania są raczej robione na pokaz, po to, by korzystnie wypaść w oczach ludzi. Japończykom często brakuje spontaniczności. Ale wydaje mi się, że ja chyba jestem inna i nie jestem typową Japonką (śmiech).

K.T: Święta prawda! Nie pasujesz do opisu mało spontanicznej osoby. Jeszcze

jedna sprawa: czy mogłabyś podzielić się z nami jakimiś wskazówkami dla ludzi, którzy wybierają się do Japonii?

T.N: Hmm... Kiedy przyjechałam do Polski, trochę nie mogłam się odnaleźć, dlatego dużo pytałam. Rozmawiałam z ludźmi trochę na migi, trochę po angielsku, ale zawsze uzyskałam wskazówkę, której potrzebowałam. Jednak kiedy ktoś zdecydował się już na wyjazd do Japonii i czegoś nie wie, lepiej niech nie zaczyna od „Excuse me...”. Mimo, że Japończycy uczą się angielskiego i przeważnie znają podstawy komunikacji, to panicznie boją się mówić w języku innym niż ich ojczysty. Zresztą sama słyszysz, jaki mam nieciekawy akcent. Kiedy Japończyk usłyszy „ekskjuzmi” to zaraz ucieknie. Dlatego najlepiej rozpocząć cichym „Sumimasen...”⁵, a jego reakcją będzie radosne „Hai!”⁶. Po „Sumimasen” można już mówić po angielsku, ale żeby przełamać pierwsze lody najlepiej zastosować taką sztuczkę.

K.T: Ciekawa rada... Na pewno ją

sobie zapamiętam. Arigatou gozaimasu⁷ za poświęcony czas, Tomoko-san.

Wywiad z Tomoko Nagahama przeprowadziła Kasia Telingo

¹ „Sensei” znaczy po prostu „nauczyciel”. Poza tym w Japonii najpierw zapisuje się nazwisko, a potem imię. Robi się to po to, by uczcić przodków danej osoby.

² „Konichiwa” – dzień dobry mówione po południu

³ „-san” to zwrot używany w stosunku do osoby pracującej z nami na podobnym stanowisku lub o tej samej pozycji społecznej. W ten sposób zwraca się również do kobiety.

⁴ „Sensei” znaczy po prostu „nauczyciel”. Poza tym Japonii najpierw zapisuje się nazwisko a potem imię. Robi się to po to, by uczcić przodków danej osoby.

⁵ „Sumimasen” oznacza „przepraszam”

⁶ „Hai” znaczy po prostu „tak”

⁷ „Arigatou gozaimasu” oznacza „dziękuję bardzo”

Nowoczesna promocja i prezentacja gminy

Głównym temat kwietniowej sesji rady miejskiej brzmiał: „Zagospodarowanie turystyczne i promocja gminy Mirsk”. W trakcie sprawozdania pracownika merytorycznego urzędu wszyscy zebrani zapoznali się z informacją na temat: infrastruktury turystycznej i bazy noclegowej, promocji gminy na targach turystycznych, zrealizowanych i planowanych projektów. Po wysłuchaniu tych informacji można było odnieść wrażenie, że głównymi atrakcjami turystycznymi na terenie naszej gminy są kolej gondolowa oraz bigos izerski, którego tak naprawdę nigdzie nie można zjeść (jeśli już, to wyłącznie podczas targów turystycznych). Jeżeli naprawdę zależy nam na tym, aby turyści nie tylko przejeżdżali przez naszą gminę, ale również spędzali tutaj swój wolny czas, należy – moim zdaniem- realizować nowoczesną promocję przez: Internet, imprezy i wydarzenia oraz lokalne media.

I tak przyjrzymy się dokładniej oficjalnej stronie internetowej www.mirsk.pl, która jest podstawową formą promocji. W zakładce turystyka osoba, która zechce odwiedzić naszą gminę, nie znajdzie informacji o tym, że istnieje w mieście punkt informacji turystycznej, w którym dostępne są przewodniki, mapy, foldery itp. na temat miasta i gminy. Dla większości turystów takie miejsce jest początkowym punktem zwiedzania danego terenu. Tak jak wspominałem wcześniej, promujemy kolej gondolową, którą się szcycimy. Na oficjalnej stronie nie znajdziemy ani jednej informacji o tym, że w promieniu kilku kilometrów od Mirska znajduje się nowoczesna kolej gondolowa, a jej górna stacja położona jest na terytorium naszej gminy. Kolejny ważny temat to zabytki historyczno - przyrodnicze, których mamy na naszym terenie naprawdę sporo. Znajdziemy podstawowy opis kościołów w poszczególnych sołectwach, ale niestety żadnej wzmianki o mirskich zabytkach, czyżby nie były godne zobaczenia? Na łamach naszego miesięcznika opisywana

była strzelnica myśliwska w Mroczkowicach. Jest to jedyny taki obiekt w tej części Polski, doskonale miejsce wokół którego można realizować wiele różnorodnych działań. Opisu tej niecodziennej atrakcji również nie znajdziemy na stronie. Wiele gmin na łamach swoich stron internetowych zamieszcza informację o najważniejszych wydarzeniach kulturalnych w ciągu roku – tak zwany kalendarz kulturalny. Publikacja takiego kalendarza służy informacji mieszkańców oraz turystów kiedy i jakie wydarzenia będą odbywały się w ciągu danego roku. Wydaje mi się, że na terenie naszej gminy jest już kilka cyklicznych wydarzeń i imprez, które mogłyby się w takim kalendarzu znaleźć.

Inna forma nowoczesnej promocji gminy, nie do końca doceniana, niestety, przez mirskich włodarzy, to promocja w mediach. Każdy gospodarz nowoczesnej gminy szuka szans promocji właśnie w lokalnych mediach. Zasada jest prosta- im częściej, tym lepiej. Często słyszę opinie mieszkańców o tym, że o Świeradowie, Gryfowie czy nawet Lubomierzu słychać

w radiu czy telewizji, a o Mirsku to już wszyscy zapomnieli. Wszystko zależy od tego, czy gospodarzowi gminy zależy na współpracy z mediami, czy zamyka się tylko do własnej gazety lokalnej (Wilkowyje bis?). Tak się składa, że na teren naszej gminy dociera sygnał nowej telewizji lokalnej Łużyce – www.luzyce.info. Jest to telewizja przekazująca codzienne informacje z powiatów lubańskiego, lwóweckiego, zgorzeleckiego i bolesławieckiego. Bardzo często można zobaczyć tutaj relację z wydarzeń odbywających się w sąsiednich gminach, niestety o naszej gminie nie było jeszcze nic.

Podsumowując, trzeba stwierdzić, że gmina Mirsk jest słabo rozpoznawalna na turystycznej mapie Polski, istnieje jedynie w świadomości mieszkańców samej gminy i okolic. Osoby spoza regionu, które nigdy tutaj nie trafiły wcześniej, nie posiadają z tym miejscem żadnych skojarzeń. Wydaje mi się, że jest już najwyższy czas na opracowanie profesjonalnej strategii promocji gminy i stopniowe jej realizowanie.

Bartosz Kuświk

IZERSKIE FANTAZJE – smacznie i dużo

W poprzednim numerze zapraszaliśmy na imprezę, która odbyła się 9 maja w Świeradowie Zdroju, pod nazwą „I Dolnośląskie Zmagania Kulinarne IZERSKIE FANTAZJE”. W tym numerze nie może zabraknąć sprawozdania z tej imprezy.

Rozpoczęła się o godz. 10.00 zawodami kulinarnymi. W międzyczasie firmy sponsorujące przekazywały informacje o swoich produktach, reklamując je tym samym. Były to m.in.: Jureko, Mesco, Herbs, Barbara Loix, Iglo Renoma, Farm Fryts, Piekarnia Szwajcarska, Knorr, Hektor i inne. Ale temat przewodni imprezy był inny: „2 metry kielbasy pod pierzynką Bounduella” do degustacji. Wydano wówczas 160 porcji, a po 10 min została już tylko pusta patelnia, wykorzystana do przyrządzenia kolejnego dania do degustacji, czyli Gulaszu Izerskiego, który rozszedł się w równie szybkim tempie. W czasie wielkiego smażenia można było podziwiać występy artystyczne zespołów ludowych, a także zmagania kucharzy z okolic w przygotowaniu jak najlepszych dań, które oceniane były przez sędziów, w skład których wchodził: Teofilos Vafidis (znany grecki kucharz prowadzący program w TV Polsat Play „NIEnaZar-

ty”, z którym można było porozmawiać lub nawet się sfotografować), Damian Chrzanowski (członek Stowarzyszenia Polskich Kucharzy i Cukierników, a także szef kuchni Hotelu Świeradów), Marcin Polus (Prezes Stowarzyszenia Polskich Kucharzy i Cukierników, także szef kuchni) oraz Marcin Parada (skarbnik Stowarzyszenia Polskich Kucharzy i Cukierników i zarazem szef kuchni). Po zawodach trwających 5 godz. jury wybrało następujących zwycięzców: I miejsce (nagrody warte 2000zł + puchar) zajęli kucharze z Hotelu Narcyz ze Świeradowa Zdroju, II miejsce (nagrody warte 1000 zł + puchar) - Hotel Świeradów ze Świeradowa Zdroju, III miejsce (nagrody warte 500 zł + puchar) - Motel Łużycki z Lubania. Pozostali uczestnicy otrzymali nagrody pocieszenia.

Goście, którzy nie zdążyli na degustację, mogli kupić na stoiskach jedzenie różnego rodzaju, m.in. kielbaski z grilla, szaszłyki, tradycyjne pajdy chleba, lody

i inne słodkości. Były również stoiska z maskotkami dla dzieci, wyrobami pszczelarskimi i inne.

Ma To być w przyszłości impreza cykliczna, więc tych, którzy nie mogli przyjechać na tegoroczną -zapraszamy za rok.

foto. Bogusław Nowicki



Teofilos Vafidis- znany z TV grecki kucharz na hali spacerowej w Świeradowie Zdr.

Anna Piotrowska



Karolina Grzybowska
ul. Nadbrzeżna 1b/15
tel. +48 608066424

AUTORYZOWANY DORADCA BIZNESOWY sieci ERA

Jeśli jesteś lub chcesz zostać klientem sieci Era

- Posiadasz REGON
- Nie chcesz tracić czasu w salonie
- Oczekujesz profesjonalnej obsługi z zakresu telefonii komórkowej
- Potrzebujesz informacji na temat oferty sieci ERA
- Chcesz obniżyć koszty użytkowania telefonów komórkowych w firmie
- Chcesz efektywnie zarządzać telekomunikacją w firmie

NIE TRACĆ CZASU !!!

Skorzystaj z pomocy Autoryzowanego Doradcy Biznesowego sieci Era, który profesjonalnie i bezpłatnie pomoże stworzyć ofertę dopasowaną do potrzeb Państwa firmy.

OKAZJA

Działki pod budowę garaży



Mirsk ul. Kwiatowa

- dokumentacja
- warunki zabudowy
- pozwolenie

tel. 0 691 419 595

II Festiwal DZIECI ZIEMI w Gajówce

Stowarzyszenie 5 Stron Świata w Gajówce (miejscowość położona 26 km od Jeleniej Góry) tworzy ekoosadę „Dzieci Ziemi”, która w założeniu ma skupić kilka rodzin wokół projektu stworzenia miejsca i społeczności. Społeczność ta wspólnie będzie zajmować się ekologią, działaniami artystycznymi, rozwojem osobistym i terapiami naturalnymi (joga, masaże, arteterapia, reiki itp.).

Myślimy również o: rolnictwie ekologicznym, odnawialnych źródłach energii, skansenie zanikających gatunków drzew i krzewów owocowych, nauce i rozwoju przez sztukę, galerii promującej lokalnych twórców, o placu zabaw dla dzieci

z wykorzystaniem naturalnego ukształtowania terenu oraz uprawie wikliny. Chcemy realizować nasze cele, organizując warsztaty, happeningi, festiwale i inne działania, w tym również zmierzające do uaktywnienia i zintegrowania lokalnej społeczności.

Do tej pory w ramach naszego pomysłu zrealizowaliśmy w Gajówce szereg warsztatów rozwojowych oraz I Festiwal „Dzieci Ziemi” Gajówka 2008 r.

Na festiwal przybyli ludzie z całego Dolnego Śląska i nie tylko - byli też goście z innych rejonów Polski, a także z zagranicy.

W dniach 19-21 czerwca 2009 od-

będzie się II Festiwal DZIECI ZIEMI w Gajówce. Impreza odbywać się będzie w czasie letniego przesilenia. W trakcie trzech festiwalowych dni będzie można skorzystać z warsztatów, tańców, zajęć jogi, masaży, posłuchać koncertów, pochodzić po rozgrzanych węglach, cieszyć się otaczającą przyrodą, posiedzieć razem przy ognisku, jeść pyszne wegetariańskie jedzenie, popracować z energią, spędzić wspólnie czas z fajnymi ludźmi i to naprawdę za niewygórowaną opłatą. Serdecznie wszystkich zapraszamy!

Szczegóły dotyczące festiwalu można będzie znaleźć już pod koniec maja na naszej stronie www.5stronswiata.pl.

Organizatorzy

Jak to z zieleń miłości było!

Lubczyk szczęśliwie przywieziono z Azji już w XII wieku i zrobił karierę jako zieleń zapewniające miłość, a związane to było pewnie z jego niespotykanym, jak na owe czasy, aromatem. Każdej zaopatrzonej w lubczyk niewieście łatwo było zwabić na tak nęcący zapach do swej kuchni amantów.

Nie trudno spostrzec, że przed XII wiekiem jakieś zioło musiało pełnić rolę afrodyzjaku. Słynne noce Kupały obfitowały w coś, co nastrojało miłośnic i wręcz mistycznie. Oprócz magicznie krótkiej nocy, ognia, wianków, tańców i śpiewów (impreza jak się patrzy) było jeszcze bardzo skromne zieleń, pojawiające się w czerwcu. Miniaturowa paproć, a może nie paproć, zaledwie 5-10 cm, nie szczególnego, ale jaka moc! Tą niezwykłą roślinką o tak potężnych walorach był i jest nasieźrza. Występuje w naszych lasach do tej pory. Drobną lekko sercowatą listką zaopatrzony w łodyżkę kwiatową przypominającą słupek w anturium lub kalii - wszystko w kolorze zielonym. Jest rośliną całkowicie chro-

nioną. Jak go użyć? Zwyczajnie, podstawowy przepis dla pań: należy odszukać krzaczek tej paproci, przed północą rozebrać się do naga, rozpuścić włosy, stanąć w rosie i rzec, co następuje:

*Nasieźrzele, rwę cię śmieie
Pięciū palcy, szóstą dłonią,
Niech się chłopcy za mną gonią.*

Pamiętajmy, że wszystkie zioła zbierane w noc świętojańską mają szczególnie zwielokrotnioną moc. Na koniec dwa przepisy na nalewkę z młodych odrostów sosnowych i lemoniadę z kwiatów czarnego bzu. Przygotować: kwiaty sosny (tegoroczne przyrosty około 4-5 cm) - 1kg, cukier - 1kg, woda

- 0,5l, spirytus - 100ml. Świeżo nazwane odrosty (nawet do końca maja) powkładać do słoików. Zalać wcześniej przygotowanym syropem zagotowanym z wody i cukru. Słoik zakręcić. Trzymać w ciepłym pomieszczeniu 2 tygodnie. Scedzić syrop i wymieszać go ze spirytusem. Rozlać do ciemnych buteleczek. Stosować przy przeziębieniach i uporczywym kaszlu jako syrop wykrztuśny. Do lemoniady zerwać kilka kiści kwiatów czarnego bzu i położyć na białym papierze (pozbywamy się w ten sposób czarnych robaczków). Wyskubać kwiaty i wsypać do 5 litrowej butelki (luźna warstwa 3-4 cm) zalać ciepłą lemoniadą przygotowaną według osobistego uznania - woda, cukier lub miód i konieczne sok z wyciśniętej cytryny. Odstawić na kilka godzin w chłodne miejsce. Rewelacyjnie orzeźwia i profilaktycznie uodparnia nasz organizm.

Z zielarskim pozdrowieniem: Izerska Wiedźma

ORZEL BIELIK (HALIAEETUS ALBICILLA)

To gatunek dużego ptaka drapieżnego z rodziny jastrzębiowatych, zamieszkujący północną, środkową i wschodnią Europę, Islandię, Grenlandię oraz Azję na północ od Himalajów. W Polsce to nieliczny ptak lęgowy (600-700 par). Przyjmuje się, iż to ten gatunek jest uwidoczniony na godle Polski. U dorosłych ptaków głowa i szyja jest jasna. Ptaki młode są ciemnobrunatne. Ogon mają krótki, układający się w wachlarz, klinowaty z każdym rokiem staje się jaśniejszy, by po 5-6 latach stać się śnieżnobiały. Dziób ciemny u młodych, jaśnieje z wiekiem do

jasnożółtego lub koloru kości słoniowej. Nogi żółte, skok do połowy nieopierzony. Orzeł bielik żywi się głównie rybami (karpie, szczupaki, leszcze). Poluje również na inne ptaki (czaple, gęsi). Sporadycznie łowi ssaki. Obecnie największym zagrożeniem dla orła bielika jest utrata miejsc gniazdowych, spowodowana kurczeniem się powierzchni starych drzewostanów. Gniazda bielików potrzebują mocnych drzew jako podstawy. **Bielik objęty został ochroną gatunkową ścisłą.**

Na naszym terenie ostatni raz widziano parkę orła bielika w Małej Kamienicy i w okolicy góry Tłoczyna...

Wiesława Wejś



Praca Wiesławy Wejś

Kabelek Izerski

Lepienie dróg

Jeszcze 15 lat temu, w Giebułtowiu niemożność telefonizowania wsi tłumaczono karą za koszt nieświeżych jajek, jakimi tajemnicza mieszkanka „obdarowała” kogoś na wysokim stanowisku w Telekomunikacji. Czym można tłumaczyć dzisiejszą niemoc drogową? Pozimowy remont drogi powiatowej, który za poprzedniego starosty odbywał się późną jesienią lub wcale, świadczył o braku sympatii dla tego zakątka gminy Mirsk. Obecnie zaczęto kleić już w kwietniu i trudno cokolwiek o tym powiedzieć... Ukryto trochę dziur do głównego skrzyżowania w Giebułtowiu i połowy Giebułtówka. Niby jest trochę lepiej, ale w samochodzie się nie pogada... Już w maju zaczęto wycinać fragmenty jezdni tu i ówdzie, wzdłuż i w poprzek, niestety tylko punktowo. Na odcinku od kaplicy w Mirsku do końca osiedla powstały doły spowalniające. Giebułtówkę czeka na taką „wycinę” tylko czy aby tam jest jeszcze, co wycinać? Kiedy najgorsza droga w powiecie lwóweckim doczeka się całkowicie nowej nawierzchni? Mamy nadzieję, że nie na św. Dygdy czyli nigdy.

WC w Mładzu

Od kilku ładnych lat toczą się boje o zbudowanie w Mirsku szaletu miejskiego, a w Mładzu już jest! Może nawet obsłużyć Rębiszów i Przecznice! Świetna lokalizacja „z widokiem za milion dolarów”(niech wybaczy kontekst cytatu pan Marek Niedźwiecki).



Am Markt
Historyczne wspomnienie po mirskim niedźwiadku.



fot. Kabelek Izerski
Widok i zapach górskich łąk jak w reklamie...

Zafoliowane drzewo

Mimo corocznej akcji wywozu śmieci wielkogabarytowych oraz stojących we wszystkich miejscowościach kontenerów na szkło i plastik, nadal zdarzają się bestialskie przypadki pozbywania się takich odpadów. Drzewo w Kamieniu oblepione folią może stanowić kolejny pomnik ludzkiej głupoty i bezmyślności.

Zagrabione grządki

Po wielu latach „przegotowań” udało się zagrabnąć na mirskim rynku dwie grządki. To cud niesłychany! Łaska pańska nie padła niestety na naszego misia z fontanny. Nadal leży tam zapomniany. A mógłby napawać swoje oczęta tym pięknym widokiem...

Tor z przeszkodami

Najbardziej wyboisty chodnik w Mirsku przy ul. Zdrojowej staje się jeszcze bardziej krzywy. Wystające po 20 cm studzienki i zdradliwe dołki od wielu lat czyhają na mało czujnego piechura(odnotowano już kilka wypadków). Mimo tego, że przechodzi nim dziennie kilkaset osób nie zanoszą się na jego gruntowny remont. Remontowany będzie za to mało używany chodnik po drugiej stronie ul. A. Mickiewicza. Jeżeli do władzy nie dociera żaden racjonalny argument, to jaki może dotrzeć? Jeżeli ktoś z czytelników posiada informacje na ten temat to prosimy o kontakt(zapewniamy dyskrecję).



Redaktor naczelny
Bogusław Nowicki

Zespół redakcyjny i współpracownicy

Bartosz Baszak, Feliks Chojnacki, Piotr Czembrowski, Grażyna Drożdżowska, Karolina Dulat, ks. Mariusz Godek, Edyta Hryciw, Jacek Krasnopolski, Bartosz Kuświk, Paweł Łupicki, Beata Nowicka, Jolanta Szepańczyk, Paweł Tomczuk, Stanisław Wojciechowski, Andrzej Woźniak

Skład i łamanie
Kuba Krasicki

Kontakt

tel. 0 882 672 386
e-mail: redakcja.izery@gmail.com
teczki do przekazania artykułów lub uwag pisemnych dostępne w punktach sprzedaży

Adres redakcji
59-630 Mirsk
ul. Zdrojowa 21/1

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń, zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji materiałów oraz zmiany tytułów.

Oferta ogłoszeniowa

Zapraszamy do zamieszczania ogłoszeń na stronach czasopisma Izery

Ceny ogłoszenia za stronę kolorową formatu A4 kształtują się w granicach 100-120 zł, za taką samą wielkość w odcieniu szarości - 80 zł. Istnieje oczywiście możliwość zamówienia 1/2, 1/4, czy 1/8 strony.

W sprawach dotyczących ogłoszeń prosimy dzwonić pod nr **0691820861** lub **0757834001**.

Szczegółowe informacje, pomoc i poradę techniczną dotyczącą tych spraw można uzyskać u Feliksa Chojnackiego w firmie „Fenix” przy ul. Kpt. St. Betleja 18 w Mirsku.

Słodki Dzień Dziecka

Dom Dziecka w Bolesławcu bierze udział w akcji firmy Wawel, która zafunduje zwycięzcy wyjazd dla piątki dzieci na wakacje w góry oraz liczne słodkości. Warunkiem wygranej jest uzyskanie jak największej liczby głosów, oddanych na stronie firmy Wawel: <http://www.wawel.com.pl/dziendziecka2009/>

Wystarczy wejść na wskazaną wyżej stronę i wybrać z listy placówek: **Bolesławiec ul. Kubika 4- Dom Dziecka p. w. św. Józefa Zgromadzenia Sióstr Elżbietanek**, podać swoje imię, adres mailowy, przepisać krótki kod i zgłosiować. Ostatnim krokiem jest otwarcie skrzynki mailowej i potwierdzenie otrzymania wiadomości z niespodzianką przygotowaną przez firmę Wawel.

W imieniu dzieci bardzo dziękujemy za oddanie głosu na nasz dom.

Siostry Elżbietanki



EKO – BART

Usługi Komunalno – Transportowe

ul. Sienkiewicza 7, 59-850 Świeradów-Zdrój,

NIP: 613-145-23-26

tel: +48 (75) 78 16 708, tel. kom. 605 666 820

e-mail: eko-bart@o2.pl

OFERTA

Firma EKO-BART zajmująca się odbiorem odpadów komunalnych proponuje Państwu ofertę cenową dotyczącą wywozu nieczystości stałych.

*W celu obniżenia kosztów gorąco zachęcamy do zawarcia umowy uwzględniającej **nieodpłatny odbiór odpadów segregowanych** (plastik, papier, szkło).*

Firma EKO-BART jako jedyna dojeżdża do klienta w celu zawarcia umowy, a także posiada wzory dokumentów służących do wypowiedzenia umów z dotychczasowym wykonawcą.

Posiadamy pojemniki do dzierżawy i sprzedaży. Podstawiamy kontenery na gruz.

Oferta cenowa wywozu odpadów CENY BRUTTO

częstotliwość wywozu odpadów pojemnik	1 x miesiącu	2 x miesiącu (co 2 tygodnie)	4 x miesiącu (co tydzień)
  0,11 m³ 0,12 m³	7,50 zł	15,00 zł	30,00 zł
 0,24 m³	15,00 zł	30,00 zł	60,00 zł
 1,10 m³	66,00 zł	132,00 zł	246,00 zł

ZADZWOŃ !!! DOJEDZIEMY DO CIEBIE !!!

tel.: (075) 78 16 708, tel. kom.:605 666 820

ODSZKODOWANIA

PROFESJONALNA POMOC



Jeśli doznałeś obrażeń w wyniku wypadku lub też ucierpiał ktoś z Twoich bliskich i nie wiesz, jak poradzić sobie z postępowaniem odszkodowawczym, możesz liczyć na nasze wsparcie!

- Czy wiesz, jaka dokumentacja będzie miała wpływ na wysokość Twojego odszkodowania?
- Czy wiesz, jak wyliczyć procentowy uszczerbek na zdrowiu?
- Czy możesz być pewny, że proponowane Ci odszkodowanie nie jest zaniżone?

Znajomość odpowiedzi na powyższe pytania to klucz do wymiernej rekompensaty szkody. Nie musisz wiedzieć wszystkiego, ważne abyś wykonał właściwy telefon!

VOTUM SA 

**POMOC OSOBOM
POSZKODOWANYM
W WYPADKACH**

**PAMIĘTAJ!
WYSTARCZY ZADZWONIĆ**

BEZPŁATNA
INFOLINIA

» 0 800 217 417

PRZEDSTAWICIEL
REGIONALNY

» 0 503 022 473

www.votum-co.pl